

— Tak. Czem mogę służyć — odpowiedział do ktor zimno i z pośpiechem.

— Niech pan doktor wybaczy łaskawie, że o śmielać się pana zatrzymywać. Jestem dziennikarzem a jako taki, znam wszystkie najznakomitsze osobistości w mieście, więc i nazwisko pańskie do brze mi znane.

— Czemże mogę panu służyć? — spytał doktor ale już bardzo uprzejmie.

— Jestem właściwie reporterem; pan doktor raczy uwzględnić reporterską ciekawość, tak nie zbędną przecież, aby publiczność miała prędkie i dokładne o wszystkim wiadomości. Chciałbym prosić o różne szczegóły dotyczące się tej zranionej kobiety, u której pan doktor był właśnie. Domownicy opowiadają dosyć bałamutnie i z tego materiału nie miałbym żadnego prawie pożytku.

— A to proszę pana potrądzić się ze mną, mogę po drodze coś opowiedzieć, ale zwracam uwagę, że bardzo mało mam czasu.

— Nie będę nadużywał cierpliwości pańskiej i zapytam krótko, jak się ma zraniona?

— Lepiej, nawet znacznie lepiej.

— Czy pan doktor nie dowiedział się, kto jest ta pani i dla czego na nią napadnięto?

— Tego się nie dowiedziałem, bo chora nie może wiele mówić. Gdy odzyskała przytomność, zaczęła szukać czegoś koło siebie i narzekać, że jej się gdzieś podziały jakieś ważne papiery. Opowiadała, że je wypuściła z ręki, broniąc się przed mordercą. Cokolwiek się uspokoiła, gdy jej powiedziano, że urzędnik policyjny, który przybył na pomoc, podjął jakiś portfel i oglądał, ale nie wiadomo, czy go zabrał ze sobą.

— Czy chora wyzdrowieje zupełnie?

— Nie wątpię; jutro przewiozę ją do szpitala. Zdaje się, że to osoba dość zamożna; właścicielka domu ma u siebie w przechowaniu znaczną kwotę jej pieniędzy. Oto wszystko, co panu mogę powiedzieć.

— A czy nie wymieniła nazwiska mordercy?

— Tego nie słyszałem, a nie chciałem jej o to pytać, bo mi właścicielka domu powiedziała, że chora nie chce o tem mówić. Kiedy się jej zapytano, ruszyła ręką na znak przeczenia, a potem dodała:

— Nie pytajcie o to.

Zabroniłem nawet dręczyć ją dalszemi pytaniami; dość będzie na to czasu, gdy wyzdrowieje.

— Najuprzejmiej dziękuję panu doktorowi.

— Żałuję, że muszę pana pożegnać, bo czekają na mnie pacjenci.

— Raz jeszcze dziękuję, moje uszanowanie.

Lekarz pożegnał się z reporterem, a dopiero w drodze przypomniał sobie, że mu ów dziennikarz nie wymienił swego nazwiska, ani też tytułu pisma, w którym pracuje. Nie przypuszczał, że tym dziennikarzem był głośny agent policyjny Neil Stuart.

VI.

Małżeństwo Robbins.

Jocelyn śledził wciąż podejrzanego Anglika z Londynu. Pewnego dnia wieczorem stanął w bramie kamienicy i spoglądał ciekawie w jasno oświetlone okna pierwszego piętra po drugiej stronie ulicy. Widział, jak podejrzanym Anglik siedząc przy biurku, przeglądał w niem szuflady i układał jakieś papiery. Po chwili spostrzegł, że weszła czarna ubrana wysoka kobieta w kapeluszu, zakryta welonem, a więc widocznie były to jakieś odwiedziny.

Ale zaraz po chwili zapuszczono story i nie mógł już nic widzieć, co się działo u podejrzanego Anglika.

Postanowił nie ruszać się z miejsca, dopóki owa kobieta nie wyjdzie. Palik jedno cygaro za drugim, dwie godziny czekał cierpliwie i już sądził, że mu sił braknie i cierpliwości, gdy wreszcie ukazała się wyczekiwana.

Jocelyn podążał za nią nie spuszczać z niej oka. Z początku szła prosto, a potem puściła się

prędko krętymi uliczkami. Jocelyn był pewien, iż się domyśliła, że ją śledzą i dlatego ucieka.

Jakież było jego zdziwienie, gdy ta czarna dama zwróciła się nagle ku niemu i zatrzymując się rzekła, jakby obrażona:

— Mój panie, to niegodziwie tak prześladować kobietę. Dlaczego pan za mną idzie?

— Dlaczego? — odpowiedział Jocelyn — rzecz jasna, widok pani mię zachwyił.

— Mój panie, to cześć pochlebstwo. Jak można się kimś zachwycić, kogo się nie widziało?

— Nie widziałem twarzy pani pod welonem, ale zachwyła mię postawa pełna wdzięku, a teraz zachwyca mię głos taki śpiewny, metaliczny.

— Czy to tylko prawda, co pan mówi? — rzekła czarna dama z wielkim przymileniem.

— O, przysięgam pani!

— Och, mój Boże, — rzekła dama z rozczuleniem i drżąca zwiesiła się na ramieniu Jocelina.



Jocelyn podążył za nią, nie spuszczać z niej oka.

Jocelyn ujął ją w pól z całą galanterią a w tem o nszy jego obył się głos Stuarta:

— A toś się złapał stary wygo!

Jocelyn aż się cofnął ze zdumienia.

— A, niech cię nie znam chłopcze; a toś mię wywiódł w pole! Gdzież u diabła nabrałeś takiego głosu?

— U brzuchomowcy. Ale nie straciłem pieniędzy na naukę?

— Warto złotem płacić za taką naukę. Ale słuchaj chłopcze, mówmy ciszej, żeby nas nie podsłuchano. Pójdziemy pod rękę, jak przyzwoita para małżeńska.

— A więc chodź mężu — rzekł Stuart kobiecym głosem.

— Wiesz co Neil, trzeba nam gdzieś spocząć i spokojnie pomówić ze sobą. Zmęczyłem się do upadłego obserwacją, która trwała kilka godzin i pościgiem za tobą. Do domu mam daleko, dorożki nigdzie tu niema, więc wejdźmy do hotelu „pod krokodylem“ i przenocujmy. Ale czy masz na tyle czasu?

— Właściwie powiedziawszy, to i ja pragnę spoczynku, a do jutra nie będę miał żadnej roboty.

Weszli do owego hotelu „pod krokodylem“, który był raczej podrzędnym zajazdem, zapisali się w księdze jako małżeństwo Robbins i zajęli licho umeblowany pokój. Ktoby był zajął do nich, byłby ze zdumieniem spoglądał, jak pani Robbins, rozciągnięta w fotelu paliła chciwie cygaro i męskim przemawiała głosem.

— Powiedź mi, jakim sposobem dotarłeś do tego podejrzanego Anglika? — zapytał Jocelyn.

— Wyczytałem w inseratach, że poszukuje kobiety, pełniącej czynności agenta policyjnego.

— Jakże cię przyjął? Obudziłeś w nim zaufanie?

— Najzupełniejsze.

— Czy już co skorzystałeś?

— I tak i nie, ale o tem powiem ci później, a teraz ty opowiadaj, czego się o nim dowiedziałeś?

— Historia wcale nie długa. Gdy go wczoraj dostrzegłem wieczorem na ulicy, oczywiście nie spuściłem go z oka. Poszedł do znanego domu gry na Clark Sreet. Udałem się za nim niespostrzeżenie i tak mi się szczęśliwie powiodło, że w kwadrans byłem jego partnerem. Zaledwieśmy grali zaczęli, chciał wyjąć pieniądze, szukał po kieszeniach z niecierpliwością, a wreszcie krzyknął:

— A, do diabła! zostałem obrażony!

— Może panu zrabowano pugilares? — zapytałem.

— Ach nie, pieniędzy nie ruszono, jeno coś ważniejszego.

Ponownie zaczął szukać, a nie znalazłszy zguby pożegnał się prędko i wyszedł w największym rozdrażnieniu, upniósłszy chustkę do nosa. Podniosłem ją niepostrzeżenie, schowałem i udałem się za nim. Pobiegł prędko do „Trybuny“, oddał tam jakiś inserat, potem wstąpił do restauracji i coś tam przetrzącił, a wreszcie od ósmej począwszy, aż do północy przebiegał z jednego teatru do drugiego i w każdym rozpatrywał się pomiędzy widzami. Wido- cznie szukał kobiety.

— A jakże wiesz o tem?

— Zaraz się dowiesz. Dziś rano zaledwie tylko wstał, poszedł do „Trybuny“, gdzie mu wręczono dwa listy, na które natychmiast odpowiedział. Cały dzień chodził po ulicach, przypatrując się każdej kobiecie, którą tylko spotkał, a więc z tego wniossek, że i w teatrach kobiety szukać musiał. Wieczorem udał się do domu i nie długo potem przyszedł do niego z wizytą. W jakimże celu?

— Zaraz, cierpliwości. Pokaż że mi tę chustkę. Masz ją przy sobie?

Jocelyn podał Stuartowi białą, jedwabną chustkę, na której był wyhaftowany znak: „Jason B“.

— Wybornie ci się udało, ta chustka ma dla ciebie wielką wartość, jak się zaraz dowiesz.

Teraz opowiedział Stuart wszystkie przygody, a na zakończenie podał mu listy, znalezione w portfelu. Jocelyn czytał je z wielkiem zajęciem i znać było, że doznaje wielkiego zadowolenia.

— Ten Jason Bradmardine, do którego listy adresowane i ów urwipoleć, którego śledzę, to pewno jedna i ta sama osoba.

— Czy myślisz, że on jeszcze teraz ngania za tą tajemniczą matką i jej dzieckiem? — zapytał Stuart.

— Prawdopodobnie — odpowiedział Jocelyn — i dlatego chciałbym cię prosić, abyś mi pomógł śledzić tego pana Jasona.

— Zawsze gotów jestem spełnić twoje życzenie, ale tym razem będzie lepiej nawet dla ciebie, jeżeli będę dalej szedł tą drogą, na którą wstąpiłem. Nasuwają mi się tu rozmaite przypuszczenia. Mój chlebodawca ów Bradmardine albo Brady, jak siebie sam niekiedy nazywa, polecił mi szukać w całym mieście pewnej kobiety. Udać się ty do Buchenthal szukać śladów tajemniczej matki, a ja tymczasem będę miał mego słuźbodawcę na oku. Kobieta, której mi szukać kazał, nazywa się Helena Richards; oskarża ją o to, że mu skradła powierzone papiery.

(Ciąg dalszy nastąpi).